



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: RÓŻOWO MI...

Jakiś czas temu pisałem o dyskusji, która przetoczyła się przez prasę w związku z pomysłem naszej telewizji wprowadzenia na szklany ekran tzw. filmów z pogranicza. Chodziło m. in. o takie filmy jak: „Emanuelle”, „Salo, czyli sto dni Sodomy”, „Wielkie żarcie” itd. itd. Skończyło się na „Wielkim żarciu”, które jednak skierowano ostatecznie do rozpowszechnienia w kinach. Wycofawszy się częściowo z zamysłu zrobienia swoistego festiwalu filmów głośnych i przez wybitnych nieraz reżyserów nakręconych, ale oscylujących często pomiędzy prawdziwą sztuką a pornografią, telewizja zaczęła nas raczyć sobotnią „różową serią”. Wyszło jeszcze gorzej.

O żalonych francuskich filmikach, kręconych przez czwartorzędnych reżyserów na zasadzie ponurego gwałcenia utworów wybitnych światowych pisarzy, można powiedzieć tylko tyle, że owe filmowe potworki spod znaku „Literatury i Erosa” są żalną parodią ekranizacji literatury. Braku umiejętności reżyserskich, przerażająco nędznego aktorstwa, prymitywizmu dekoracji itp., nie jest zdolny „zrównoważyć” filmowy popis damskich biustów i podrygujących pośladków. Może jedynie stanowiła wyjątek ekranizacja opowiadania Czechowa o skromnej wdowie-lunaticzce, wynajmującej swoją daczę (i nie tylko daczę!) samotnym panom, pragnącym zaznać wypoczynku na „łonie natury” – film mieszczący się w kategoriach nie pozbawionej smaku, lekkiej komedii, nasyconej „soft-sexem”.

Nawiasem mówiąc, wcale nie mniej gorące „momenty” widuje się w kinach, choćby na filmach Briana de Palmy. I nieraz więcej w nich prawdziwie erotycznej atmosfery niż w tych z „różowej serii”, gdzie rozebrane do rosołu panienki podskakują rytmicznie nad lędźwiami swych kochanków.

Wiele osób, z którymi rozmawiałem na temat „różowej serii”, twierdziło, że z trudem tylko potrafiły dotrzeć do końca owych nudnych i w gruncie rzeczy bezbarwnych filmowych opowiadań. Uważały, że zmarnowano im koniec sobotniego wieczoru. I nie były to osoby gorszące się erotyką czy też nią niezainteresowane. Wprost przeciwnie. Ale czuły się po prostu w jakiś sposób „wystrychnięte na dudka”. Trochę podobnie do tych widzów, którzy

ściskając w garści zafundowane im przez zakład pracy bilety wstępu w cenie 1 500 zł sztuka, wałą z wypiekami na policzkach na kabaret Tadeusza Drozdy „Sexxesy”, spodziewając się, że są chwilę spod każdego fotela wypełźnie goła striptizerka, zaś w zmasowanej na sali „telewizorni” pokażą im (stereo i w kolorze) siedemset figur z „Kamasutry”. A tymczasem przez połowę programu zalewa ich swoją elokwencją sam Drozda. W dodatku ubrany od stóp po szyję.

Jeszcze gorzej, kiedy ostatnio telewizja postanowiła zastąpić półgodzinne eroto-filmiki pozycjami pełnometrażowymi, wygrzebanymi chyba gdzieś z dna kufrów zagranicznych dystrybutorów. Tak było z filmem Waleriana Borowczyka „Lulu”. Opartym na jednej ze sztuk Wedekinda, i „Hekate” D. Schmidta, reklamowanym jako dzieło „pięknie fotografowane”, w którym „romantycznie ukazano śmiałe sceny miłosne”.

Co do „Lulu”, to takiej chały nie oglądałem od czasów dokonania przez Borowczyka ekranizacji znanej powieści Stevenson „Dr Jekyll i Mr. Hyde” (na szczęście nie została ona - jak dotąd - zaprezentowana w polskiej TV, ale wszystko jest jeszcze przed nami!). I żał tylko człowieka bierze, że grafik tej miary i tej miary twórca filmów animowanych, co Walerian Borowczyk kręci do tego stopnia mierne filmy fabularne, w tak marny i tak nieudolny sposób usiłując epatować publiczność.

W rubryce „Telewizja” w „Polityce”, gdzie zamieszczane są wypowiedzi przedstawicieli różnych zawodów na temat obejrzanych w minionym tygodniu telewizyjnych programów, znany historyk prof. Franciszek Ryszka oświadczył po obejrzeniu „Lulu”: „Poprawny w soft-porno Walerian Borowczyk tym razem pokazał horror. Jego adaptacja „Lulu”, niezłej sztuki granej w dobrych teatrach, była zwyczajnie żalosna. Przypuszczam, że przyczyna zakupu leżała wyłącznie w naszym snobizmie na eksportowych Polaków”. A jakby rozwinął jeszcze tę wypowiedź reżyser filmowy Janusz Majewski: „Zdołał mnie tylko wzburzyć film Waleriana Borowczyka w sobotnim kinie nocnym. Uważam, że był skandaliczny, nikczemny, na żenująco niskim poziomie. Dziwi mnie, dlaczego to pokazano. Nie widzę żadnego powodu, by kupować tak nędzny film – no może poza żalonym snobizmem, że to „dzieło” rodaka, który zdołał się przebić w Paryżu”.

Podpisując się obydwoma rękami pod powyższymi stwierdzeniami, mogę tylko dodać, że następna po „Lulu” – „Hekate” Schmidta była już nie tylko „nikczemna”, ale jeszcze nieprawdopodobnie nudna, ciągnąca się w nieskończoność i, działająca niczym pastylka nasenna. Może kierownictwu polskiej TV chodzi o zdrowy sen abonentów telewizyjnych, tylko po co rozpoczynać tego rodzaju nasenne działanie o tak późnej porze?